

W razie tedy wybuchu ognia w mieście, policjant nie potrzebuje szukać prywatnego telefonu, co zwłaszcza w nocy jest bardzo utrudnione, lecz udaje się do najbliższego aparatu i za jego pośrednictwem zawiadamia straż pożarną o wypadku.

Aparaty te są zbudowane bardzo pojedynczo, a istotną część ich stanowią telefony, zasłonięte w zwyczajnych warunkach odpowiednio urządzonej kłapą. Za pociśnięciem guzika, umieszczonego na widocznym miejscu, kłapa się otwiera, odsłaniając równocześnie aparat telefoniczny.



Byłem na wiecu w Ujeźdźalni. Widzę, jak się uśmiechacie i mówicie: a to się wybrał, a to amator kwaśnych jabłek i... hańbowania. A ja wam na to odpowiem: żałujcie, żeście na tym wiecu nie byli. Bo był to, prawda, wiec, był w Ujeźdźalni, było na nim kilkuset robotników, ale nie było hańbowania. Przeciwnie, panował na nim nastrój uroczysty, patriotyczny. A może myślicie, że to był wiec robotników „w sieci obkurantyzmu pochwyconych”? I to nie — owszem — gdzieś oko zwróciłeś, wszędzie mogłeś dojrzeć „towarzyszy”. Może nie była ich przewaga, ale połowa z pewnością. Nikt zresztą nie pytał się, jakiego kto wyznania politycznego, żadne specjalnie stronnictwo nie wysyłało na ten wiec swych szeregowców, bo był to wiec zwołany przez tych, co głośno wołają: wierzcie, w co chcecie, walcze, w jakim chcecie obozie, bylebyście swój kraj kochali i dobro jego stawiali na pierwszym planie. Słowem: był to wiec „Straży Polskiej”.

Urządziła go Straż w rocznicę Racławic. Sądziła, że wobec ciosów, jakie świeżo na nas spadają, rocznicę tę należy obchodzić nie wieczorkiem, muzyką, śpiewem, deklamacją, to jest przyjemnem spędzeniem czasu, ale należy ją uczcić przez wspólne rozmyślanie o potrzebach społeczeństwa, o obronie pokojowej narodu. Więc prezes „Straży” red. Bartoszewicz mówił o znaczeniu Racławic, o położeniu politycznem narodu, o celach i zadaniach „Straży”. Po nim przemawiali: prof. M. Magiera o obowiązkach narodowych i o potrzebie rugowania przemysłu obcego — i dr. Wróbel, podnoszący w swem przemówieniu główne momenty insurekcji Kościuszkowskiej. Wszyscy ci trzej mówcy znani są w Krakowie, więc wy, szanowni czytelnicy Krakowianie, wiecie dobrze, jak mówili, a wam niekrakowianom musi wystarczyć, że mówili płynnie, ciepło, że umieli wywołać poważny i serdeczny nastrój w zgromadzeniu. Nie sztuka im zresztą mówić i nie pierwszyna, więc nie będę im śpiewał hymnów pochwalnych. Ale zaśpiewam go innym mówcom: rzemieślnikowi i robotnikowi, którzy zabrali głos w dyskusji. Co za swada, jaki zapach! Kiedy p. Ligęza, stolarz krakowski, powiedział: „przyszliśmy tu dla sprawy narodowej, zawołano nas do narady nad obroną tego, co nam najdroższe — a jednak nie widzę tu ani tych, co rządzą miastem, ani profesorów uniwersytetu, ani kupców — gdzież się podzieli? gdzie ich miłość kraju? gdzie miłość naszych ideałów?” cała sala zabrzmiała od oklasków. I brzmiała dalej, kiedy potępiał apatie, słomiany ogień, „patriotyzm w gębę”, kiedy oddawał cześć założycielom „Straży Polskiej”, kiedy z zapalem wzywał wszystkich, aby szli w jej szeregi. A po nim wstąpił na mównicę p. Grochał, robotnik fabryczny, idący prosto od pracy, z twarzą spaloną od ognia, pocernioną od dymu. Głosem tubalnym, jakby uderzeniami siekiery, zaczął mówić o wyzysku robotnika — wśród słuchaczy powstała obawa dysnansu — ale p. Grochał utrzymał na wodzy swe warstwowe uczucia i w imieniu robotników zaręczył, że dobro całości leży im na sercu, że kochają ziemię rodzinną, są gotowi dla niej nieść ofiary, że pojmują wreszcie zadania „Straży” i staną przy niej wiernie. Efekt tych słów był znakomity, stały się one godnem uwieńczeniem wiecu. Przemawiał jeszcze gorąco jakiś młodzieniec. I złożyła się sama przez się pewna całość, o jakiej nie myślał nawet komitet wiec zwołujący. Te same myśli, te same uczucia, ten sam program pracy narodowej głosili kolejno: reprezentant dawnej, czysto polskiej (nie koteryjnej, nie małomiasteczko-

wej) demokracji, reprezentant stanu nauczycielskiego, reprezentant urzędników, przedstawiciel rzemieślników, przedstawiciel klasy robotniczej i reprezentant młodzieży. To też śmiało mógł przewodniczący zamknąć wiec stwierdzeniem, że panowała na nim miłość i zgoda, że unosił się nad nim duch jedności narodowej.

I to wszystko było (spytaście) w Ujeźdźalni? w tej Ujeźdźalni, której tak się boją zarówno demokraci krakowskiego chowu jak konserwatyści? Tak, w tej Ujeźdźalni. Jestto zapowiedź, że się tworzy coś nowego, że jakieś świeże powietrze zaczyna napływać do siedliska stęchlizny, że dawne ideały budzą się i stają w poprzek polityce karyer osobistych.

Charakterystyczną rozmowę miałem po wiecu. Przystąpił do mnie robotnik i tak wypowiadał się ze swych wrażeń: „Kiedy przemawiał pierwszy mówca, podejrzewałem go, że jest wszechpolakiem — kiedy mówił drugi, sądziłem, że coś tu pachnie centrowcami — trzeci robił na mnie wrażenie ludowca, ale teraz po wiecu, biorąc wszystko w kupę, widzę, że to byli szczerzy Polacy, a nie partyjni agitatorzy. Tak, tak, panie, trzeba nam iść razem, bo nam coraz gorzej...”

Że coraz gorzej, to prawda. W dniu, w którym wiec się odbywał, parlament niemiecki uchwalił nową ustawę o zgromadzeniach, a w niej ów ohydny § 7, który większej części Wielkopolan odebrał prawo przemawiania w języku ojczystym na zgromadzeniach. Kiedy go rząd niemiecki przedstawił, wybuchło w parlamencie oburzenie: większość stanowczo oświadczała się przeciw niemu. Wolnomyślni głośno wołali, że nie sprzeniewierzą się swym zasadom. Ale od czego łapówka? Ten i ów dostał tytułek, a wszystkim zrobiono ustępstwo co do gry na giełdzie zbożowej. Haniebną tę grę ograniczyły ustawy w imię etyki — obecnie dano etyce w łeb, pozwalając na „handel terminowy zbożem bez ograniczeń”. Był Polaków zdusić, niech się wolnomyślni Niemcy oszustwem bogacą, lub niech się niszczą. Taka łapówka zresztą to żadna nowość, kiedy władza chce coś przeprowadzić. Wszak i w naszych małych bagienkach łapówki „moralne” (?) są na porządku dziennym: one tworzą „zasady”, one łączą ze sobą najzawziętszych przeciwników politycznych, one umieją ze zaśnieźdzonego konserwatysty w 70 roku życia zrobić *à la minute* demokratę, a bojownika socjalizmu przedzierzgnąć w konserwatywnego baranka. Ot! komedia!

Jedna z takich komedij, zwana wyborami do rady miejskiej krakowskiej, ukończy się, zanim wyjdzie dzisiejszy numer „Nowości”. Chwała Bogu! Trzy lata będziemy mieli wolne od wyborów — dopiero za trzy lata Europa znowu na nas „patrzeć będzie”. Bo kto czyta dzienniki krakowskie, ten nabiera przekonania, że losy świata, a conajmniej wielkich zasad zależą od tego, kto zasiądzie na drugim piętrze b. pałacu Wielopolskich, kto będzie mógł rozstrzygać, jaki jest lepszy bruk: kostkowy czy asfaltowy, na której ulicy postawić budynek szkolny, jaki „dodatek aktualny” przyznać temu lub owemu urzędnikowi, jaką naznać czyść takse dorożkom i kominiarzom, gdzie posadzić drzewka, którą parcelę kupić, a którą sprzedać, kto ma mieć pieczę nad konsensami, lub siedzieć za darmo w łożu komisji artystycznej. Są i ważniejsze, grubsze sprawy, ale wszystkie one nie wychodzą poza zakres gospodarki miejskiej, a nigdy nie wkraczają w kwestję zasad. A przecie wybieramy tylko „mężów zasad”, tylko o zasady (!) toczy się walka. Stare dzieci mają zabawkę, a sprytne dzieci łowią rybki w tej mętnej wodzie. I każą nam wierzyć, że jeżeli nie Europa, to cała Polska czekała na to ze drżeniem, czy p. Bobilewicz zostanie radcą miejskim, że wybór p. Margulies, wiceprezesa kahału, to zwycięstwo polskiej demokracji, równające się conajmniej zwycięstwu Sobieskiego pod Wiedniem.

To ostatnie zwycięstwo ma przypomnieć Wiedniowi obchód jubileuszu cesarskiego. Proponowany jest wielki pochód tryumfalny, w którym ma się ukazać Jan III. z polskimi dowódcami. Nie wiem, jak wy się na to zapatrujecie, szanowni czytelnicy, ale co do mnie, ten Sobieski w pochodzie tryumfuującym razi mnie i boli. Nie wiem, z jakiej polskiej głowy wyszedł ten pomysł, ale wiem, że to głowa do poźloty, niemająca wyobrażenia o godności narodowej.

Jedni wyobrażenia o niej nie mają, a drudzy w obronie jej wpadają w dziką przesadę. Ale nie u nas. Zaszczyt ten należy przyznać Niemcom wiedeńskim. Czesi chcą urządzić w Wiedniu kilka przedstawień teatralnych — czy komu obdarzonemu rozsądkiem... na myśl przyszłoby mogło, aby to

ubliżało godności niemieckiego Wiednia? A jednak zanosi się na grubą awanturę. Radykali niemieccy grożą skandalem. Wiceburmistrz Neumeyer obiecał im, iż przedstawienia czeskie udaremnii. I to mają być przedstawiciele kulturalnego narodu!

Ba, ba, jaki on kulturalny! — niech się osioł schowa. Oto wyszedł spis książek, zakazanych przez radę szkolną w Cieszynie na podstawie referatu p. Armanda Karella. Warto zobaczyć, jakie polskie książki są zakazane w bibliotekach szkolnych. Oto np. najzaciejszej Klementyny Hoffmanowej „Powiastki i komedijki moralne” są zakazane dla scen miłosnych i dla takich wyrażen, jak „panny to istne czorty”, lub „wszystko do góry nogami” (pfe! co za nieprzyzwoite wyrażenie!). W Kraszewskiego „Dziecięciu starego miasta” są wyrażenia „bezduszne bydłeta”, „zwierzęta pozbawione serca” — więc precz z Kraszewskim. W Dygasińskiego „Beldonku” przychodzi „psiawiara, psiadusza, psianoga” — więc precz z Beldonkiem. To obrona moralności — ale p. Armand Karell broni i austriackiego patryotyzmu. Oto w „Listach Jana III.” jest mowa o niewdzięczności cesarza Leopolda — wynoś się więc Sobieski ze swymi listami. W „Obronie Wiednia” autor twierdzi, że „cesarz z całą rodziną uciekł z Wiednia od wielkiego strachu” — jest to wprawdzie fakt historyczny, ale przytaczanie takich faktów to straszna nielojalność! A przede wszystkim trzeba szanować Niemców, a tu Przyborowski w „Chrobrym” pisze, że „Otton włókł się jak żaba”, a Dygasiński w „Robinsonie polskim” pozwolił Niemcowi „napluć w oczy”. Sienkiewicz znowu w noweli „Za chlebem” uprawia „jednostronność narodową i wyznaniową”. Nietylko zresztą polskich autorów dosięgła cenzura p. Armanda Karella. Światowej sławy utwór Beecher-Stowe „Chata wuja Toma” wyrzucony został z bibliotek szkolnych za opisy „nie-ludzkiego postępowania” — tenże los spotkał słynne, wspaniałe „Bajki” Andersena za „znieważenie godności królewskiej”.

Poprzestaję na tych cytatach, boć już ich dość chyba, aby zawołać: o Armandzie Karellu! o głupoto nieograniczonej! A ten pan Armand, to nie byle kto — to cesarski radca i dyrektor seminarium nauczycielskiego. — Szanowna redakcyo „Nowości!” Postaraj się o portret tego meża — niech świat wie, jak wygląda ten krzewiciel moralności, ten obrońca młodzieży przed zarazą ze „złych” książek płynącą.

**B. Gabryelska, Krzysztofory Kraków.**  
Wynajmuje i sprzedaje pierwszorzędných fabryk fortepiany, pianina, harmonie i pianole za gotówkę lub na spłaty nawet dwudziestomiesięczne bez zaliczki.

1-52

## 50-lecie pracy lekarskiej.

(Do ilustracji na stronie 4).

Przed kilku dniami obchodził znany w Warszawie lekarz, dr. Stanisław Markiewicz, pięćdziesięciolecie pracy lekarskiej, z czego 25 lat spędził na stanowisku naczelnego lekarza kolei wiedeńskiej.

Jubilat, objawwszy w 1882 r. to stanowisko, umiał dzięki swej ruchliwości i energii przeprowadzić wiele doniosłych spraw, powodując się zawsze obywatelskim duchem i stojąc na straży interesów pracowników kolejowych. Wychodził on bowiem z założenia, że należyta organizacja ochronna i lecznicza dla pracowników i grup zawodowych — jest niezawodnie jedną z potężnych pochodni światła, kultury, jedną z dźwigni, podnoszących godność i krzepiących siły nie tylko grup zawodowych, ale i całej ludności, wśród której grupy te żyją.

Z tego powodu i z powodu jego patriotycznej działalności na wielu innych polach i instytucjach, jest dr. Markiewicz szeroko znany i powszechnie ceniony, a święcony przezeń jubileusz dał sposobność szerokim kołom przyjaciół i znajomych wyrażenia uznania i czci dla jego zasług.

